

SUSAN EE

Angelfall

PENRYN I KRES DNI



SUSAN EE

# Angelfall



PENRYN I KRES DNI

Przełożył Jacek Konieczny

The logo for the publisher 'Young' is written in a stylized, cursive font. The word 'Young' is in a dark color, and there are decorative floral or leaf-like elements on either side of the letters 'y' and 'o'.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*End of Days*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska  
Wydawczynie: Agnieszka Nowak, Maria Mazurowska  
Redakcja: Agnieszka Trzebska-Cwalina  
Korekta: Olga Gorczyca-Popławska, Ewelina Czajkowska  
Projekt okładki: © Urszula Gireń  
DTP: pagegraph.pl

Text copyright © 2013 by Feral Dream LLC

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of  
Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Jacek Konieczny, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2025  
ISBN 978-83-8371-673-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)





## Rozdział 1

Ludzie rozbiegają się na boki na widok wielkiego cienia rzu-  
canego przez nasz rój.

Suniemy nad zgliszczami niemal całkowicie opustoszałego miasta. San Francisco było kiedyś jedną z najpiękniejszych metropolii świata z charakterystycznymi tramwajami i słynnymi restauracjami. Turyści przechadzali się po dzielnicy portowej, krążyli po tłocznych uliczkach Chinatown.

Dziś ocalali walczą o resztki jedzenia i napastują przerażone kobiety. Na nasz widok czmychają do kryjówek. Na ulicach pozostają tylko najbardziej zdesperowani, którzy wykorzystują kilka sekund, jakie zajmuje nam przelot, na ucieczkę przed gangami.

Pod nami jakaś dziewczyna pochyla się nad martwym mężczyzną, który leży z rozrzuconymi rękami. Może nas nie zauważyła, a może ma wszystko gdzieś. Od czasu do czasu w jakimś oknie dostrzegam refleks światła – albo ktoś śledzi nas przez lornetkę, albo celuje z karabinu.

Musimy wyglądać efektownie. Niebo zakryła chmara prawie dwumetrowych szarańczaków o skorpionich ogonach.

Pośrodku roju leci demon z olbrzymimi skrzydłami, w ramionach trzyma nastoletnią dziewczynę. Raffe wcale nie jest

demonem, ale z pewnością tak wygląda, jeśli ktoś nie wie, że w istocie to archanioł, któremu przeszczepiono cudze skrzydła.

Myślałam pewnie, że porwał tę biedną dziewczynę. Nie przyszłoby im do głowy, że w jego ramionach czuję się bezpiecznie. Że wtuliłam głowę w ciepły łuk szyi i że lubię dotyk jego skóry.

– Czy my, ludzie, zawsze tak wyglądamy z powietrza? – pytam.

Odpowiada. Czuję drgania jego gardła, widzę poruszające się usta, ale nie słyszę ani słowa. Wszystko zagłusza głośnie buczenie roju szarańczaków.

Może to i dobrze, że nie poznałam odpowiedzi. Z perspektywy aniołów przypominamy pewnie karaluchy.

Tyle że – niezależnie od tego, co sądzą o nas anioły – nie jesteśmy karaluchami, małpami ani potworami. Pozostaliśmy tymi samymi ludźmi co dawniej. Choćby tylko w wymiarze wewnętrznym.

A przynajmniej taką mam nadzieję.

Zerkam na pokrytą bliznami siostrę, która leci obok nas. Wciąż muszę napominać się w myślach, że Paige jest tą samą dziewczynką, którą zawsze kochałam. No może nie do końca tą samą.

Leci na wysuszonym ciele Beliala, unoszonym niczym lektyka przez kilka szarańczaków. Demon jest zakrwawiony i wygląda na martwego, ale wiem, że wciąż żyje. Zapewne zasłużył sobie na taki los, choć nurtuje mnie wątpliwość, czy tego rodzaju prymitywne okrucieństwo naprawdę było zasadne.

Przed nami, pośrodku zatoki San Francisco, wyrasta szara skalista wyspa. To Alcatraz, osławione więzienie, nieczynne od lat. Nad wyspą krąży wir szarańczaków – tych nielicznych, które nie poleciały z innymi, kiedy Paige wezwała je na pomoc kilka godzin temu.

Wskazuję na wyspę leżącą za Alcatraz. Jest większa, pokryta roślinnością i na oko niezamieszкана. Powinna to być Wyspa Anioła. Nazwa nie brzmi zachęcająco, ale każde miejsce wydaje

się przyjemniejsze od Alcatraz. Nie chcę, żeby Paige trafiła na tę przeklętą skałę.

Omijamy wir szarańczaków szerokim łukiem i obieramy kierunek na większą wyspę.

Daję znak Paige, aby leciała za nami. Jej szarańczaki i kilka innych, które trzymają się blisko, podążają za Raffem, ale większość stada rusza do roju nad Alcatraz. Czarny komin wirujący nad więzieniem gęstnieje. Niektóre stwory w pierwszej chwili kierują się za Paige, ale po jakimś czasie zdezorientowane zawracają, jakby jakaś siła nakazywała im dołączyć do swoich.

Tylko kilka tych istot towarzyszy nam, kiedy zataczamy krąg nad Wyspą Anioła, szukając wygodnego lądowiska.

Wschodzące słońce rozświetla szmaragdową zielen lasów porastających brzegi zatoki. Z miejsca, w którym się znajdujemy, za Alcatraz rozciąga się szeroka panorama San Francisco. Kiedyś miasto wyglądało przepięknie. Teraz przypomina rząd wyszczerbionych zębów.

Łądujemy na zachodnim brzegu. Fale tsunami zarzuciły plażę zwałami cegieł i połamały drzewa porastające pobliskie zbocze. Tylko część wyspy od strony zatoki pozostała w nienaruszonym stanie.

Ledwie stajemy na ziemi, Raffe wypuszcza mnie z objęć. Mam poczucie, jakby podróż trwała rok. Ręce zamarzyły mi prawie na kość, nogi zupełnie zeszywniały. Szarańczaki po wylądowaniu zataczają się, jakby coś im dolegało.

Raffe rozprostowuje kark i potrząsa rękami. Gładkie nietoperze skrzydła składają się i znikają za jego plecami. Na twarzy wciąż ma maskę z przyjęcia w gnieździe, które zakończyło się masakrą. Ciemnoczerwona, srebrzysta maska zakrywa twarz z wyjątkiem ust.

– Nie zamierzasz jej zdjąć? – Również potrząsam rękami, próbując przywrócić w nich krążenie. – Wyglądasz jak czerwona śmierć osadzona na skrzydłach demona.

– I dobrze. Każdy anioł powinien tak wyglądać. – Raffe obraca ramionami.

Najwyraźniej lot z drugą osobą uczepioną pod brzuchem wcale nie należy do łatwych. Niezależnie od wykonywania ćwiczeń rozluźniających Raffe rozgląda się uważnie po podejrzanie spokojnej okolicy.

Poprawiam pasek na ramieniu, aby zamaskowany pluszowym misiem miecz przylegał ściśle do biodra i w razie potrzeby był łatwo dostępny. Ruszam ku Paige, aby pomóc jej zsiąść z Beliala. Kiedy zbliżam się do siostry, szarańczaki zaczynają syczeć i wymachiwać mi przed nosem skorpionimi kolcami.

Przystaję, serce wali mi jak oszalałe.

Raffe w jednej chwili staje obok mnie.

– Poczekaj, aż sama do ciebie przyjdzie – radzi cicho.

Paige schodzi ze swojego środka transportu i gładzi szarańczaki drobną dłonią.

– Ciii. Już dobrze. To jest Penryn.

Wciąż mnie zadziwia, że te potwory słuchają poleceń mojej siostrzyczki. Mierzymy się wzrokiem jeszcze przez chwilę, w końcu stwory opuszczają kolce, ulegając delikatnej melodii głosu Paige.

Siostra pochyła się i podnosi odcięte skrzydła Raffego. Leżała na nich przez całą drogę. Zaplamione krwią pióra sprawiają wrażenie połamanych, ale uniesione niemal natychmiast się stroszą. Nie winię Raffego, że odciął je Belialowi, aby szarańczaki nie wysssały z nich wszystkich soków, ale żałuję, że musiał to zrobić. Teraz trzeba szybko znaleźć lekarza, który mu je przyszyje, zanim całkowicie obumrą.

Ruszamy plażą i po chwili dostrzegamy dwie łodzie wiosłowe przywiązane do drzewa. A zatem wyspa nie jest całkowicie opustoszała.

Raffe daje znak, żebyśmy się ukryły, a sam rusza w górę zbocza.

Wygląda na to, że po tej stronie wyspy znajdowało się dawniej skupisko domów. Na niżej położonej części wzniesienia pozostały po nich jedynie betonowe fundamenty, na których leżą sterty roztrzaskanych desek pokrytych zaciekami z soli morskiej. Po wyżej stoi kilka nienaruszonych budynków.

Podbiegamy chyłkiem do najbliższego. Sądząc po rozmiarach, musiał to być rodzaj koszar. Podobnie jak pozostałe został szczelnie zabity pomalowanymi na białą deskami. Mam przeczucie, że doszło do tego na długo przed Wielkim Atakiem.

Zabudowania sprawiają wrażenie upiornej osady rodem z horroru. Wyjątek stanowi wiktoriański dom na szczycie skierowany w stronę zatoki. Wygląda na nietknięty, otacza go nawet biały parkan. Jako jedyny przypomina budynek mieszkalny, wyróżnia się kolorystycznie na tle pozostałych i sprawia wrażenie miejsca, w którym mogą przebywać ludzie.

Nie dostrzegam żadnych zagrożeń, a zwłaszcza takich, z jakimi nie potrafiłyby sobie poradzić szarańczaki, mimo to trzymam się w cieniu. Patrę, jak Raffę podrywa się w powietrze i wlatuje, sunąc od baraku do drzewa, od drzewa do baraku, aby zbliżyć się do domu na wzgórzu.

Kiedy dociera na miejsce, ciszę przerywają odgłosy wystrzałów.





## Rozdział 2

Raffe przywiera do ściany.

– Nie chcemy nikogo skrzywdzić – woła.

W odpowiedzi z okna na piętrze pada kolejny strzał. Podskakuję, moje nerwy są napięte do granic wytrzymałości.

– Słyszę, o czym rozmawiacie – woła Raffe. Pewnie uważa, że wszyscy ludzie są głusi. W porównaniu z aniołami musimy sprawiać takie wrażenie. – Odpowiedź brzmi: nie. Wątpię, aby moje skrzydła były równie wartościowe co skrzydła anioła. Przestańcie się zresztą oszukiwać, nie miałobyście ze mną żadnych szans. Interesuje mnie tylko dom. Rozegrajcie to mądrze. Odejdźcie.

Drzwi do domu otwierają się z hukiem. Na zewnątrz wychodzi trzech krępych facetów. Mierzą z karabinów w różnych kierunkach, niepewni, gdzie czają się wrogowie.

Raffe wzbija się w powietrze, a szarańczaki podążają za nim. Sunie majestatyczny i przerażający na swoich imponujących skrzydłach demona, by po chwili wylądować obok domu.

Szarańczaki podlatują między drzewami, strasząc kolcami podwiniętych ogonów.

Kiedy mężczyźni mogą wreszcie przyjrzeć się przeciwnikom, rzucają się do ucieczki. Wpadają między drzewa, byle tylko znaleźć się dalej od szarańczaków. Okrążają ruiny budynków i zbiegają na plażę.

Z domu wybiega kobieta, skulona niczym zbity pies. Ucieka w przeciwnym kierunku niż mężczyźni, ciągle oglądając się za siebie. Wygląda, jakby bardziej obawiała się ich niż skrzydlatych stworów.

Znika między pagórkami za domem, tymczasem mężczyźni wsiadają do łodzi, chwytają wiosła i ruszają w stronę miasta.

Raffe podchodzi do drzwi opustoszałego budynku, zatrzymuje się i przez chwilę uważnie nasłuchuje. Daje nam znak ręką i wchodzi do środka.

Kiedy docieramy pod dom, woła:

– Pusto!

Kładę Paige dłoń na ramieniu i wchodzimy do ogrodu przez furtkę w białym parkanie. Paige wpatruje się w dom, trzymając kurczowo skrzydła Raffego, jakby to była jej ukochana pluszowa zabawka. Posiadłość wzniesiona w stylu wiktoriańskim ma ściany w kolorze masła, ozdobione rdzawoczerwonymi wykończeniami. Na werandzie stoją wiklinowe meble, a całość przypomina domek dla lalek.

Jeden z szarańczaków upuszcza Beliala przy parkanie. Ciało demona przypomina ochłap mięsa, do tego zepsutego, o kolorze i fakturze suszonej wołowiny. Krew wciąż cieknie z policzka i ramię, skąd Paige wygryzła kawałki. Belial wygląda żałośnie, ale akurat tej ofercie szarańczaków nie potrafię współczuć.

– Co zrobimy z Belialem? – pytam Raffego.

– Zajmę się nim – odpowiada, schodzi z werandy i idzie w naszą stronę.

Biorąc pod uwagę wszystkie straszne rzeczy, jakich dopuścił się Belial, nie bardzo rozumiem, dlaczego Raffe go nie zabił. Może sądził, że szarańczaki zrobią to za niego, albo uznał, że Belial nie wylizze się z ran, które zadała mu Paige. Tymczasem demon wciąż żyje, a Raffe wyraźnie nie kwapi się, żeby go dobić.

– Paige, chodźmy.

Siostra idzie za mną na drewnianą werandę. Wchodzimy do środka.

Myślałam, że dom będzie pokryty kurzem i pleśnią, prezentuje się jednak zaskakująco czysto. Salon wygląda tak, jakby pełnił funkcję muzealnej ekspozycji. W kącie umieszczono suknię z dziewiętnastego wieku. Obok niej postawiono mosiężne słupki z linami, którymi dawniej odgradzano zwiedzających od zabytkowych mebli.

Paige rozgląda się po pokoju, po czym podchodzi do okna. Za chropowatą szybą Raffe przeciąga ciało Beliala do bramy. Zostawia go tam i znika za domem. Belial wygląda na martwego, ale wiem, że to tylko pozory. Jad z koleców szarańczaków powoduje całkowity paraliż, ofiara zachowuje jednak świadomość. To jedna z przerażających konsekwencji uządlenia.

– Sprawdźmy resztę domu – mówię, gdy Paige niewzruszenie spogląda przez okno na wysuszone ciało Beliala.

Raffe wraca z naręczem zardzewiałych łańcuchów. Owija nimi Beliala: obwiązuje mu szyję, oplata słupki parkanu, a następnie krępuje uda demona. Wygląda to dość makabrycznie. Spina łańcuchy kłódką na klatce piersiowej.

Gdybym nie znała Raffego, budziłby teraz we mnie paniczny lęk. Sprawia wrażenie bezdusznego i nieludzkiego, gdy obchodzi się w ten sposób z bezbronnym demonem.

Co dziwne, nie mogę oderwać wzroku od Beliala. Skuta łańcuchami sylwetka z jakiegoś powodu przyciąga moje spojrzenie. Zupełnie jakby wyglądała znajomo.

Odpycham od siebie tę myśl. Najwyraźniej ze zmęczenia dostałam zwidów.